Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 27.
dnia 5. Czerwca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom II.

(Ciąg dalszy).

W kilka dni po tej rozmowie, nasz przyjaciel z domu wyjechał. Najpierw udał się do Krakowa, gdzie dłużej zabawił, a po złożeniu egzaminów pospieszył do Wiednia. Tu dzięki swemu nazwisku, ogładzie towarzyskiej i rozumowi, poznał bliżej wybitniejszych członków polskiej delegacji, która w wiedeńskiej Radzie państwa Galicję przedstawia, i broni jej interesów; zawiązał stosunki z kilkoma Czechami z nazwiskiem i wpływem, zbliżył się do dwóch Węgrów, którzy szczycili się zaufaniem samego kanclerza, hrabi Andrassego, nareszcie znalazł przyjaciół między wyższymi urzędnikami, od których najlepiej mógł się dowiedzieć, jakie poglądy przeważały w kołach rządzących. Zebrawszy wszystko co usłyszał i czego się nauczył, takie sobie o Austrji zdanie wyrobił:

Dzięki szczęśliwemu zbiegowi różnych okoliczności, dom Habsburgów utworzył w środku Europy państwo ludne i z natury bogate, które istnieje nie dla jakiejś wyższej idei, lecz wyłącznie dla tego domu, jako jego własność. Gdyby jednego dnia brakło rodziny Habsburgów, nazajutrz ludy, w skład Austrji wchodzące, nie wiedziały by co z sobą począć... Z tąd też pochodzi, że prowincje austrjackie nazywają się dzierzawami domu Habsburgów.

Ponieważ okazało się w czasach najnowszych, że sama idea dynastyczna ludom nie wystarcza, państwa bowiem pełne sił żywotnych, działaniem na zewnątrz, i rozwijaniem się bezustannem starają się świat przekonać, że mają prawo istnieć, więc i dla Austrji wynaleziono drugą jeszcze ideę, która się nazywa ideą równowagi europejskiej. Lecz czy i to wystarcza? — Ryszard w duchu się zapytywał. Czyż cały świat nie mówi, że równowaga Europy najbardziej ucierpiała przez podział Polski, a mimo to dla dobra owej równowagi, jakoś nikt się nie spieszy z odbudowaniem tej Polski? A o Turcji czyż od lat pięćdziesięciu nie powtarzają, że istnieje jedynie dla tego, aby równowaga na Wschodzie nie została zwichniętą, a tymczasem Ryszard właśnie za swego pobytu we Wiedniu słyszał od osób wysoko położonych, że upadek i rozbiór Turcji między mocarstwami środkowej Europy dawno jest postanowiony! Idea równowagi, podniesiona pierwszy raz przez ks. Metternicha, po upadku Napoleona I., ma zatem tak długo wartość, jak długo sąsiedzi owego państwa, które dla równowagi istnieje, nie mogą się jeszcze porozumieć co do sposobu, jak się niem podzielić. Gdy atoli to raz nastąpi, gdy sprawiedliwym podziałem zrównoważą się same między sobą, jutro ze spokojnem sumieniem rzucą się na sąsiada, którego wczoraj jeszcze podtrzymywały w imię równowagi międzypaństwowej. Jest to bezlitośna zasada polityki nowoczesnej...

Ryszard doszedłszy do tego wyniku, zadrżał w duszy. Miałażby niesprawiedliwość, przed stu laty pierwszy raz na nas popełniona, ciągle się powtarzać? Miałażby ludzkość wiecznie być jedna i ta sama? Miałyżby narody i państwa dla tego tylko istnieć, żeby się nawzajem zwyciężać i po-

chłaniać? Gdy z obawami swemi zwierzył się przed pewnym delegatem, człowiekiem wielkiego serca i rozumu, ten na to tak odpowiedział.

— Losu, o którym pan mówisz, mogą obawiać się jedynie te między państwami europejskiemi, ktore nie są dość silne, żeby się obronić.

— Jeżeli tak, więc chyba nie prawo dziś rządzi, tylko siła! — przerwał nasz przyjaciel gorzko się uśmiechając.

Delegat wzruszył ramionami.

— Niestety tak wygląda...

— A o Austrji czy możesz pan dobrodziej powiedzieć, że znajdzie w sobie siłę do odparcia koalicji, skoro niedawno temu przegrywała nawet z pojedynczymi nieprzyjaciółmi?

— Mnie się zdaje, że znajdzie, z konieczności bowiem wchodzi ona dziś na nowe tory. Jak długo dynastja, uważając się za niemiecką, marzyła jedynie o wielkiej polityce niemieckiej, tak długo i ludy, w skład jej wchodzące, nie tylko nie dbały o jej potęgę, przeciwnie nawet z upragnieniem wyglądały jej niemocy. W Austrji silnej były one przez Niemców, dla których dom Habsburgów zdawał się istnieć, wyzyskiwane pod względem materjalnym i moralnie gnębione, gdyż gwałtem germanizowane; natomiast w Austrji słabej mogły znaleźć sprawiedliwość i równouprawnienie. Po wojnach ostatnich, Austrja wyparta z Włoch i Niemiec, weszła w rzeczy samej na nową drogę, i dziś zdaje się myśleć jedynie o szczęściu swoich ludów. Wprawdzie nie powiem, żeby w tym kierunku wszystko już było uczynione, zwłaszcza, że hegemonja Niemców-centralistów, którzy ster rządów w ręku dzierżą, dotąd nia złamana, mam jednak w Bogu nadzieję, że to nastąpi w niedalekiej już przyszłości, poczem szczęście ludów będzie od nich samych zależało. A gdy raz te ludy będą szczęśliwe, nie wątpię, że wtedy ostatnią krwi kroplę pozwolą sobie za Austrję wytoczyć. Austrja na takich podstawach oparta, nie będzie się potrzebowała lękać nieprzyjaciół zewnętrznych.

— I sądzisz pan dobrodziej, że w czasach jak teraźniejsze, niespokojnych i gorączkowych, wśród których historja stokroć prędzej bieży, niż przed trzystu lub nawet stu laty, Austrja będzie miała czas jeszcze nowy ten program urzeczywistnić? Czy jesteś pan pewny, że wypadki nie unicestwią jej pracy?

— Na tak stanowcze zapytanie trudno mi równie stanowczo odpowiedzieć, wszakże zdaje mi się, nawet wierzę, że Austrji nie prędko jeszcze będą groziły wielkie niebezpieczeństwa.

Ryszard przypomniał sobie, że mniej więcej takie same przekonanie wypowiedział raz przed nim jego starosta. Nie było więc ono przekonaniem jednego tylko delegata, lecz zdawało się wypływać z ducha, jeśli już nie wszystkich, to przynajmniej znacznej większości Polaków, mieszkających w zaborze austrjackim.

— A nas w Austrji co może spotkać? — Ryszard zapytał.

— Ani chwili nie wątpię — delegat odpowiedział — że prędzej lub później Austrja dla własnego bezpieczeństwa, będzie musiała przyłączyć do swoich dzierżaw ziemie polskie, zostające dziś pod panowaniem rossyjskiem, a wtedy powstanie monarchja Austro-węgiersko-polska. O lepszej przyszłości nawet marzyć nie możemy.

Czyż tak samo nie politykował jego ojciec? A ksiądz Samuel, starosta, szlachta, mieszczanie i *Teraźniejszość* czy innego byli zdania?

— Więc pan dobrodziej wierzysz, że Austrja podołała by takiemu zadaniu, że sama jedna potrafiłaby Rosję pokonać?

— Przy naszej pomocy bardzo nawet łatwo!... Zresztą o ile wiem, ona sama nigdy nie będzie, walka bowiem między światem sławiańskim, na którego czele stoi Rosja, a germańskim, któremu Prusy przewodniczą, zbliża się szybkim krokiem, gdy więc do starcia przyjdzie, Austrję będą musiały Niemcy poprzeć... Nie uczynią one może tego z serca szlachetnego, państwa bowiem wspaniałomyślnych uczuć nie rozumieją, lecz w dobrze zrozumianym interesie własnym, aby potęga Rosji kiedyś nad niemi nie zaciężyła.

Nasz przyjaciel słuchał, badał, rozważał, ale zdania swego jeszcze nie objawiał.

Wróciwszy do kraju, w domu ojca krótko zabawił. Wewnętrzna gorączka, która z dniem każdym w nim się wzmagała, kazała mu natychmiast puścić się w objażdżkę po Galicji. Wkrótce też dyszlem rzemiennym objechał wszystkie obwody, potem na kilka jeszcze tygodni wpadł do Królestwa polskiego i W. Ks. Poznańskiego. Spostrzeżenia jego polityczne w tej podróży poczynione, dadzą się streścić w niewielu słowach.

W zaborze pruskim znalazł bądź ludzi zrezygnowanych, którzy widząc, jak germanizm wszelkiemi szczelinami wdziera się do kraju, powiedzieli sobie: Zginęliśmy! i pracować przestali; — bądź patrjotów rozpaczających, którzy chcąc się bronić, gorączkowo na wszystkie strony się rzucają, ale praca ich rozbija się ciągle o twardą i zimną pierś krzyżacką. Wyjeżdżając z tamtąd zawołał: Jeźli nam z kąd nie zaświta jutrzenka szczęśliwa, do lat kilkudziesięciu wyprą nas z nad Warty, jak nas już wyparli z nad Łaby i Odry.

W królestwie kongresowem znalazł dobrobyt, jakiego nie widział w Galicji ani w Księstwie, za to jego mieszkańcy, przygnieceni żelazną dłonią rządu, bali się z nim mówić o tem, co ich bolało. Zaledwie tyle wybadał, że jakkolwiek było im bardzo źle, na samą wzmiankę przezeń uczynioną, że Austrja mogła by im przynieść szczęście i wolność, zamiast się ucieszyć, raczej posmutnieli. Wielu z nich nie wierzyło, żeby Austrja mogła tak wielką rzecz dokonać, a ci znowu, którzy to za rzecz prawdopodobną uznali, wynurzyli wątpliwość, ażali w połączeniu z Austrją Polska miała by przyszłość....

W Galicji samej widział najpierw obóz ogromny, ogarniający wszystkie warstwy, który powiedział sobie, że tylko jedna Austrja może i musi Polskę zbawić; następnie stronnictwo mężów uczonych, którzy utrzymywali, że Polska runąwszy pod ciężarem własnych błędów, może na przyszłość żyć jedynie w swoim języku i literaturze, a o jakiejkolwiek roli politycznej nawet marzyć nie powinna; nakoniec tu i owdzie spotykał ludzi samopas chodzących, którzy powołując się na polityczny program Aleksandra Wielopolskiego, ledwie szepcząc wynurzali swoje przekonanie, że Polska jedynie w rozumnym sojuszu z Rossją może żyć i jeszcze kiedyś być wielką. Nasz przyjaciel zaciekawiony uwagami tych ostatnich, począł pilnie odczytywać co o Wielopolskim dotąd napisano, chcąc bowiem poznać wszystkie prądy, nurtujące społeczeństwo, powinien był zgłębić i ten program, mimo że w kraju był on z wszystkich najmniej popularny.

Wróciwszy do domu po półrocznej niebytności, od świtu do północy siedział zawsze w swoim pokoju i przez cały ten czas czytał, a jeszcze więcej dumał. Wszystko co słyszał i czego się nauczył układał sobie w głowie systematycznie, jedno przy drugiem i z wszystkiego zdrowe ziarna wyciągał, lękał się bowiem, żeby nie był podobnym do tych biednych mędrców, którzy bardzo wiele wiedzą, a nic nie umieją.

Po kilku tygodniach takiej pracy w zupełnem osamotnieniu, z ojcem bowiem tylko przy objedzie się widywał, doznał raz szczególnego wrażenia. Oto myśląc, jak według zwyczaju, o najważniejszych zagadnieniach, które jego naród zbliska obchodziły, w ożywionej wyobraźni ujrzał się nagle na górze wysokiej, zkąd wzrokiem cały świat ogarniał. I oto na dole widział co ludzi boli, a co cieszy, czego pragną, a czego radziby uniknąć, czem narody stoją, a czem padają, jakie cele mają ludy i państwa, nareszcie jaką drogą Polska iść powinna. Odtąd w to, na co wzrok jego duszy patrzył, szczerze wierzyć zaczął...

— Zdaje mi się — rzekł do siebie — że myśl, która mi teraz przewodniczy, jest prawdziwa... Dla niej też będę walczył do końca życia!... Gdyby jednak błędną się okazała, bezwzględna bowiem prawda jest tylko u Boga, wtedy oby mi przynajmniej bracia przebaczyli, mając na uwadze, że *errare humanum est.*

To powiedziawszy udał się do ojca. Ten widząc od dawna wielką zmianę w swoim jedynaku, zaczynał się tem niepokoić. Szlachcic, lubiący rozrywki, tokaja, wiścika, słowem wiodący życie z dnia na dzień, nie pojmował, zkąd w człowieku tak młodym jak Ryszard, wzięło się to zamiłowanie do samotności i zadumy, graniczącej prawie z melancholią. Kilka razy chciał go o to pytać, zawsze jednak odkładał do dnia następnego, rozum bowiem mówił mu, że chyba nic innego, tylko jedna miłość była powodem tej zmiany, nie chciał go więc porywczem badaniem drażnić i raczej wolał czekać, ażby on sam wystąpił ze zwierzeniami. Ale jak odmienne było to, co usłyszał, od tego, czego się spodziewał!

Ryszard zaczął najpierw mówić o obowiązkach, jakie każdy człowiek ma w obec rodziny, społeczeństwa, w którem żyje i ojczyzny. Mówił zaś tak potoczyście i pięknie, że ojciec uważnie go słuchając, miał łzy w oczach. Kiedy zobaczył, że grunt został odpowiednio przygotowany, tak dalej ciągnął:

— Niejednokrotnie wspominałeś mi ojcze, że byłbyś najnieszczęśliwszym, jeślibym został lekarzem, ja sam zresztą przyrzekłem ci, że nim nie będę, póki mnie do tego konieczność nie zmusi,

a tej dzięki Bogu dotąd niema... Jako doktor filozofji mógłbym być także profesorem, lecz tej karjery lękam się, nie mając piersi dość silnych... Tak więc jeden i drugi zawód okazuje się dla mnie nieodpowiednim, a tu należało by przecie coś stałego przedsięwziąć, inaczej mógłbym wyglądać jak próżniak z Ewangelji, który talenta zakopał, aby nie pracować...

— A gospodarstwo sercuńciu to nic? Przecie Gozdawici byli zawsze rolnikami mosterdzieju, i takim mój syn powinien zostać. Oho! nie myśl sobie, żeby gospodarstwo dziś było zabawką, jak niegdyś za czasów pańszczyźnianych, kiedy to chłop na szlachcica pracował!... Dziś sercuńciu trzeba się dobrze napocić, zanim człowiek parę reńskich wydobędzie.

Tu pan Gozdawa obtarł pot z czoła, jakby na dowód, że i jego gospodarstwo zmęczyło.

— Gdzież jednak to gospodarstwo ojcze kochany? Starawieś oddana w administrację, jeźli dobrze pójdzie, dopiero za jedenaście lat znowu do nas wróci, a przez ten czas co robić?

— Prawda sercuńciu, zapomniałem... Chociaż chcąc, mógłbyś się ożenić i wziąć kilka pięknych wiosek.

Ryszard uśmiechnął się boleśnie.

— Nie mówmy o tem ojcze kochany... ożenić się mogę jeszcze i za lat kilka, a żenić się na gwałt nie myślę.

— Jeźli tak, więc jakie twoje zamiary sercuńciu?

— Postanowiłem założyć wielki dziennik polityczny.

— Co, dziennik?

— Tak jest ojcze... Nie raz i nie dwa mówiliśmy, że w tej części Galicji nie mamy ani jednego pisma prawdziwie poważnego, które by rozumnie i z godnością broniło naszych interesów, *Teraźniejszość* bowiem zna tylko osobistości...

— Niech ją djabli porwą mosterdzieju! — krzyknął pan Gozdawa. — Na mego syna napadać, na Ryszarda Gozdawę! Ach! jaka szkoda, żem im wtedy uszu nie poobcinał. Dziś mosterdzieju wolę czytać *Gazetę urzędową*, niż tę jakąś ścierkę!

— Dziennik, o którym ja marzę — mówił Ryszard dalej — będzie czysty i uczciwy, wolny od małodusznych zawiści i ślepych namiętności, a że wielkie wypadki w świecie się gotują, wojna bowiem na Wschodzie jest już postanowiona, więc i wydawanie pisma, któreby narodowi prawe drogi wskazywało, będzie teraz czynem patrjotycznym.

Ryszard był pewny, że ojciec zacznie mu oponować; tymczasem on przemówienia wysłuchawszy, przyjął projekt syna dość przychylnie.

— Może to i nie zła myśl — rzekł. — Kto wie sercuńciu co tam Austrja myśli, a co Bismark. A nuż mosterdzieju przyszli do tego rozumu, że bez Polski w Europie nigdy nie będzie spokoju... W takich czasach gazeta rozumna i przyzwoita mogłaby sercuńciu niejedno dobre zrobić. Wiem, że ty temu podołasz, masz przecie głowę... No i znaczenie będziesz miał nielada, gazety mosterdzieju każdy boi się jak ognia. Jedna tylko rzecz nie podoba mi się mój Rysiu...

— Jaka, jeźli wiedzieć wolno?

— Powiadają, że ci gazeciarze, tak żyją mosterdzieju, jak komedjanty. Między porządnych ludzi żaden z nich nie pójdzie, tylko włóczy się to gdzieś po szynkach i knajpach. Wiem ja, że człowiek potrzebuje się czasem zabawić, ale na to są kasyna sercuńciu, gdzie i tokaj jest dobry i wiścik... A oni mosterdzieju, jak mi w mieście mówiono, nie lubią nic tylko żytniówkę! Między takimi ludźmi sercuńciu nie wytrzymasz.

— Czyż to ja ojcze kochany z nimi żyć potrzebuję? Zresztą choćbym nawet chciał do nich się zbliżyć, oni pierwsi temu przeszkodzą, między naszemi bowiem pismami panuje niestety przekonanie, że ludzie dwóch dzienników, a więc dwóch obozów, muszą nie tylko piórem się zwalczać, lecz także nienawidzieć się prywatnie!

— Smutna historja mosterdzieju, bardzo smutna!

Po tej pierwszej rozmowie ojciec i syn kilka jeszcze razy wracali do tego przedmiotu. Panu Gozdawie coraz bardziej myśl się ta podobała, zwłaszcza, że odtąd miał nadzieję częściej bywać w stolicy. Obiecawszy synowi, że od czasu do czasu będzie go zasilał korespondencjami z pod Ludaczowa, dał mu swoje błogosławieństwo i serdecznie go uścisnąwszy w drogę wyprawił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy).

Siostra i brat, baron Armand Heideck, siedzą właśnie sam na sam w budoarze hrabiny, na poufnej pogadance. Baron zaledwie o kilka lat starszy od siostry, podczas gdy ona potrafiła dotąd zachować młodości pozory i powaby, wygląda przeciwnie na starca, który mógłby być jej ojcem. Rysy jego blade i zmęczone, oczy bez wyrazu i koloru, twarz starannie ogolona, ruchy sztywne, słowa wypowiadane ostrożnie i z namysłem, znamionują biurokratę od głowy, aż do stóp.

I teraz słuchał zimno siostry raportu, jeden muszkuł nie drgnął w twarzy, oczy na pół przymknięte, ani razu żywszym wyrazem nie zabłysły. Siostra kończyła w te słowa:

— Jak ci pisałam, z Edmundem niema ratunku. Z niezwykłą u niego stanowczością, trwa przy swoim projekcie małżeństwa, mnie co dzień obsypując prośbami i pieszczotami, abym mu tegoż nie broniła. Nie widziałam już innej rady, jak ciebie zawezwać.

— I bardzo dobrze uczyniłaś. Sama nie oparłabyś się może naleganiom twego ulubieńca. Myślę, iż z tego punktu oboje wychodzimy, że to małżeństwo nie może przyjść do skutku?

— Niezawodnie! — hrabina potwierdziła — ale jak mu przeszkodzić? Edmund za kilka tygodni zostaje wieloletnim i panem nieograniczonym swojej woli.

— Dotąd poddawał się bezwarunkowo twojemu kierunkowi — wtrącił brat. — Kocha cię nadewszystko.

— Kochał! — gorzko się uśmiechnęła. — Teraz kocha jeszcze inną oprócz matki. Pytanie czy w walce z nią otrzymam zwycięztwo?

— Tylko odłóż na bok Emmo tę drażliwość i gorycz niepotrzebną! Tyś sama w tej sprawie najwięcej zawiniła. Kochałaś syna tak namiętnie i z taką zazdrością, żeś o jego ożenieniu ani słyszeć nie chciała. A miałem dla niego w roku przeszłym partję doskonałą! Oto co z twojej niechęci wynikło! Musimy jednak nad wszystkiem gruntownie się zastanowić. Ten Rüstow ma być bardzo bogatym?

— Przynajmniej za takiego uchodzi w całym powiecie.

— Nie mniej i w stolicy. Niedawno przystąpił do wielkiego przedsiębiorstwa industrjalnego, z kapitałami bardzo znacznemi. Ze wszech stron uważają go za powagę w kraju. Nawet w ministerjum dla handlu i przemysłu wysoko cenią jego zdanie. Do tego przyczynia się wielce powinowactwo z Ettersbergami, którego nie można zaprzeć, bądź jak bądź... w obecnej chwili związku tego nie można brać za mezaljans...

— Zapewne! I na tem zdaje mi się Edmund buduje.

— On liczy jedynie na twoją miłość nieograniczoną, od której wszystko otrzymać się spodziewa, gdybym ja nie wszedł pomiędzy was. Pamiętaj atoli, że musisz działać w tym przypadku w myśl twojego męża, a on zawsze potępiał bez miłosierdzia małżeństwo swojej kuzynki...

— W tym duchu działałam i mówiłam — przerwała hrabina widocznie podrażniona. — Skoro jednak Edmund słuchać mnie nie chce, to...

— Musisz go zmusić do posłuszeństwa, za jakąbądź cenę! — gwałtownie wtrącił baron. — U twojego syna tradycja rodowa musi być utrzymaną, raczej niż u każdego innego. Wszak mnie rozumiesz Emmo?

Mówił powoli, z naciskiem, a hrabina bladła coraz więcej pod jego wzrokiem przenikającym.

— Cóż to znaczy Armandzie? Ja przecież...

— Mówiliśmy o poślubieniu pana Rüstowa, przez jedną z rodziny Ettersberg — baron odparł sucho. — Musiałem ci przypomnieć tę okoliczność, abyś nie była zbyt pobłażliwą i uległą dla syna, dla któregoś zawsze była aż nadto czułą matką.

— Może? — westchnęła ciężko hrabina. — Bo też to była jedyna istota, którą kochałam i którą kochać mi było wolno — ciszej dodała — odkąd mnie zmusiłeś oddać rękę hrabiemu.

— Nie ja, stosunki zmusiły cię do tego. Myślę iż dość biedy zażyłaś w młodości, by umieć ocenić zmianę w twojem położeniu, aby błogosławić rękę brata, która cię z nędzy prawie wyrwała i postawiła na stanowisku tak świetnem pod każdym względem.

— Błogosławić! — powtórzyła z oburzeniem hrabina. — Nie! Tego nigdy nie potrafiłam.

— Działałem wtedy, jak mi powinność i sumienie nakazywało. Szło o osłodzenie ostatnich dni ojcu, o zapewnienie matce naszej przytułku na stare lata, a dla ciebie o partją, której ci najbogatsze panny w kraju zazdrościły. Jeżeli cię namawiałem, abyś dla tego zerwała węzły, któremi spętałaś się dobrowolnie, i jeżeli nagliłem, abyś nie dotrzymywała zobowiązań, do których jako małoletnia nie miałaś prawa, czyniłem to w dobrej wierze, myśląc iż oswobadzam cię jedynie z niedorzecznych marzeń miłośnych, z gorączki, którą każda młoda osoba przejść musi, a gdy minie, nieraz zadowolona, że ją z niej wyleczono. Myślałem, że dumna hrabina Ettersberg, gdy raz stanie na piedestalu, nie zechce zejść z niego dobrowolnie. Za nadto liczyłem na moją siostrę i... przerachowałem się niestety!

Hrabina drgnęła przy tych ostatnich słowach, w oczach łzy zalśniły:

— Litości bracie! — głucho jęknęła. — Wiesz, że tych wspomnień nie znoszę!

— Masz słuszność! Zostawmy przeszłość w popiołach zapomnienia pogrzebaną, a myślmy o teraźniejszości. Edmunda musimy odwieźć od tego szaleństwa. Pobieżnie z nim tylko mówiłem, gdy mnie ze stacji przywoził. Umyślnie unikałem dłuższej nad tym przedmiotem debaty, chcąc wprzód ciebie zobaczyć i z tobą się naradzić. Wierz mojemu staremu doświadczeniu. Nie ma tu mowy o gwałtownej namiętności, która łamie wszelkie zapory, byle dójść do celu. Zajął się po prostu młodą, i jak powiadają, bardzo piękną dziewczyną, przytem wcale nie głupią, a że jej inaczej mieć nie może, więc dalejże się żenić! Postaramy się jednak, by to się nigdy nie stało. Przeciw takim motylkowatym uczuciom, mamy jeszcze broni dosyć w zapasie.

— I ja się tego spodziewam — wtrąciła hrabina, zmuszając się do tonu spokojnego, choć głos jej drżał łzami i gwałtownie tłumionem wzruszeniem. — Pospieszyłam też z wezwaniem ciebie. Jesteś przecie opiekunem.

Potrząsł głową:

— Już to moja opieka, była nią li na papierze, a wkrótce całkiem ustanie. Mnie nigdy Edmund nie chciał ulegać, i rad moich nie słuchał; ale tobie chętnie się powodował. Spróbój tylko. Każ mu wybierać między tobą, a tą nową namiętnością, powiedz, że skoro ją do domu wprowadzi, noga twoja więcej w Ettersberg nie postanie, zobaczysz kto zwycięży? Całą duszą do ciebie przywiązany, nie zechce matki na zawsze utracić...

— Nie, tego nie zechce — przerwała hrabina z silnem przekonaniem — o tyle jestem pewną jego miłości.

Po krótkiej pauzie, baron na nowo mówić zaczął:

— A teraz do drugiego przedmiotu. Każ zawołać Oswalda. Chciałbym go wybadać na punkcie jego cudownych planów na przyszłość.

Hrabina zadzwoniła:

— Prosić pana Oswalda — rozkazała wchodzącemu lokajowi. — Powiedzieć, że pan baron życzy sobie z nim mówić, tu u mnie. — Lokaj zniknął za drzwiami, a baron sarkastycznie mówił dalej:

— Trzeba przyznać, że Edmund i Oswald idą na wyścigi, który doda więcej blasku imieniowi Ettersbergów. Ten chce zaślubiać córkę ich dawnego plenipotenta, tamten chce otworzyć kancelarję adwokacką. Oswald nie od dziś musiał się nosić z tą myślą?

— I ja sądzę, że latami zmierzał ku temu — wtrąciła hrabina. — Teraz dopiero przed egzaminami zdradził się z tą wielką tajemnicą. Oświadczyłam mu jednak kategorycznie, że z tego nic nie będzie, i że ma wejść do urzędu.

— Cóż on na to?

— Nic... jak zwyczajnie. Znasz przecie to dumne, ponure milczenie, którem zbywał od małego chłopca, każdą wymówkę, każdą karę, ten wzrok pełen niezłomnego uporu, który miał zawsze na pogotowiu, gdy usta głosu wydać nie chciały. Tem silniej będzie się trzymał planu raz powziętego, im mniej o nim mówi.

— To bardzo do niego podobne. Lecz tym razem uledz musi. Kto, jak Oswald, zależy jedynie od łaski krewnych, a sam nic nie posiada, temu nieposłuszeństwo mogłoby wypać za drogo. Nie zechce tak wiele ryzykować.

Rozmowa zupełnie innym tonem była teraz prowadzona. Gdy szło o Edmunda, oboje tylko nad tem przemyśliwali, jakby zrobić, żeby mu nie uledz, a jednak w niczem nie dotknąć. Była mowa jedynie o matki miłości, o jej pieszczotach, któremi ma zdobywać syna uległość. Skoro wymówili imię Oswalda, znikła wszelka delikatność i oględność. Raportowano równie ostro, jak sądzono. Szło po prostu o złamanie woli ubogiego krewnego, środkami przymusowemi, w których nie myślano wcale przebierać; postanowiono raczej sięgnąć od razu do najsurowszych. Baron podzielał widocznie antypatją siostry swojej do Oswalda.

Zawołany stanął w progu. Pozdrowił jak zwykle stryjenkę ceremonialnie i zimno, i skłonił się sztywnie baronowi, którego dotąd nie widział. W rysach jego malował się spokój, lecz i wola niezłomna stawić czoło burzy, która go czeka. Pogrążył się znowu w owe „dumne milczenie“, a wzrok jego wyrażał więcej niż kiedykolwiek, ów „upór nieugięty“, z którym czekał, aby z nim mówić zaczęto:

— Zgotowałeś nam nielada niespodziankę Oswaldzie — przemówił baron ironicznie — i to w chwili, gdy ja poczyniłem wszelkie możliwe kroki, aby ci świetną karjerę zapewnić. Cóż to są znowu za plany niedorzeczne, z którymi ni ztąd ni z owąd występujesz? Wojskowej służby nie chciałeś, teraz tak samo nie chcesz służby państwowej. Właśnie u ciebie, przy twojej zależności, takie wahanie się między rozmaitemi zawodami, jest nie do darowania!

— Jam się nigdy nie wahał — Oswald odrzekł spokojnie. — Przeznaczono mnie najprzód do wojska, następnie do urzędu, lecz o moje zdanie nikt się nie spytał.

— Dla czegoż nie raczyłeś ani jednem słowem napomknąć, że i temu drugiemu projektowi naszemu jesteś przeciwny? — spytała hrabina.

— Powód łatwo odgadnąć — wpadł baron w słowo. — Bał się dłuższej walki z nami, bo wiedział, że w niej ulegnie. Myślał, że w ostatniej chwili tak nas swoim planem odurzy, iż mu na wszystko pozwolimy. Co w tem, toś się grubo omylił Oswaldzie. Moja siostra już ci oświadczyła nieodwołalnie, że praktykę adwokacką uważamy jako niezgodną z imieniem Ettersberga, a ja ci również powtarzam, że na to nigdy przyzwolenia naszego nie uzyskasz.

— Bardzo mi przykro — brzmiała stanowczo odpowiedź. — Będę więc zmuszony pójść raz wytkniętą drogą, bez tegoż przyzwolenia.

Hrabina chciała wybuchnąć, brat jednak za rękę ją przytrzymał:

— Tylko spokojnie Emmo! Pokaże się, czy będzie mógł to uczynić? Nie pojmuję cię doprawdy Oswaldzie — prowadził rzecz dalej, tonem zabijającej ironji. — Dosyć już żyłeś w świecie, aby poznać się z jego wymogami. Żeś też się dotąd nie zastanowił, czem opędzisz ostatnie egzamina, z czego będziesz żył w stolicy przez te lata, i jakiemi funduszami potrafisz otworzyć kancelarją? Liczysz w tem zapewne na Edmunda wspaniałomyślność. Lecz gdy raz przez twoją krnąbrność pozrywasz mosty między sobą a Ettersbergem, możesz być pewny, że moja siostra dopilnuje, aby niczem syn nie wspierał cię w twoim uporze.

— Nie liczę na nikogo, prócz na siebie — Oswald oświadczył. — Edmund wie dobrze, że odtąd nawet bym jego pomocy nie przyjął.

— Może jednak pozwolisz dawnemu opiekunowi spytać się, z czego myślisz utrzymywać się na przyszłość? — mówił baron dalej tonem sarkastycznym.

— Udam się najprzód do doktora praw Braun'a. Nazwisko znane panu zapewne?

— O! i bardzo. Używa wielkiej sławy jako adwokat.

-- Był on szczerym przyjacielem mojego ojca, i wiele chwil spędził w naszym domu. Ile razy byłem z Edmundem w stolicy, odwidzałem go, gdyż przeniósł życzliwość swoją z ojca na syna. Gdy byłem na uniwersytecie, kierował mojemi naukami, ku celowi wytkniętemu. Odtąd byliśmy w ciągłych stosunkach. Teraz życzy sobie pomocnika, a później zastępcy w pracy nadto dla niego uciążliwej. Dla mnie to miejsce zarezerwował. Na czas egzaminów dom mi swój ofiaruje, co ja z wdzięcznością przyjąłem.

Oswald opowiadał ze spokojem niewzruszonym, za to jego audytorjum było tem bardziej wzburzone i zaniepokojone. Myśleli że pogróżką „zostaniesz bez funduszów“ zniszczą szalone plany upartego, i nazad go dostaną w swoje szpony, a tu przed ich zdziwionemi oczyma rozwija się cała droga życia. Nic nie pominięto, każdy szczegół naprzód obmyślano, i ofiara im raz na zawsze z rąk się wymyka. Zawód, jaki ich spotykał, łatwo było wyczytać we wzroku pełnym oburzenia, który między sobą zamienili.

— Ciekawe wiadomości! — wybuchła pierwsza hrabina, nie dając się dłużej powstrzymać. — Po za naszemi więc plecami, knułeś z zupełnie obcym człowiekiem formalny spisek przeciwko nam, i to trwało latami!

— A do tego w jakim celu? — baron uzupełnił. — W wojsku i w służbie państwowej, twoje starożytne, arystokratyczne nazwisko, byłoby ci dopomogło do zrobienia karjery, ty zaś depcesz te wszystkie przywileje nogami, aby rozpocząć praktykę nędznego adwokata! Myślałem, że potomek Ettersbergów będzie miał więcej szlachetnej ambicji, i wyżej wzlecieć zapragnie. Czyś doprawdy tak bardzo ukochał zawód adwokata?

— Bynajmniej; nad inne go nie ukochałem — odparł lodowato. — Lecz w innych musiałbym jeszcze latami... odbierać dobrodziejstwa, a tego nie chcę! To jest jedyna droga, mogąca zapewnić mi od razu wolność i niezależność, dla tego ją obieram, i temu to celowi postanowiłem poświęcić wszystko!

W tych słowach mieściło się nie tylko niezłomne postanowienie, lecz i gorzki wyrzut, który hrabina aż nadto dobrze zrozumiała.

— Przyjmowałeś tak długo te dobrodziejstwa — odrzuciła — iż może ci ich bardzo brakować w przyszłości!

Ton mowy był tak ironiczny, iż jeszcze więcej drażnił, niż treść jej impertynencka. To też i Oswald stracił resztę zimnej krwi, i równie szorstko odpowiedział:

— Jeżeli byłem aż dotąd skuty łańcuchami gnębiącej mnie zależności, pewno nie moja w tem wina! Ettersbergowi nie było wolno, jak pierwszemu lepszemu z ludu, lub z mieszczaństwa, szukać kawałka chleba, gdziekolwiek by go znalazł. Musiałem uledz tradycjom familijnym, musiałem pozwolić się tyranizować, aż do tej godziny, kiedy wreszcie ster życia, mogę w własne ująć dłonie.

— Co też czynisz w sposób najbezwzględniejszy! — zawołała hrabina unosząc się coraz więcej — depcesz owe tradycje, i stajesz w otwartym rokoszu przeciw rodzinie, której wszystko zawdzięczasz! Gdyby mój mąż był to przewidział, nie byłby cię nigdy przeznaczył, za towarzysza nierozłącznego swojemu synowi, nie byłby cię kazał wychowywać jak drugie dziecko w domu! Oto jak dziękujesz za tyle łask odebranych! Już to wdzięczność, zdaje się być tylko czczem słowem dla ciebie!

Oswalda wzrok nagle zapłonął ogniem ponurym i jak piorun groźnym.

— Wiem jak wielki ciężar rzucił stryj na twoje barki pani, mnie twojej opiece polecając, nie myśl jednak, że ja mniej na tem od ciebie cierpiałem! Gdybym był poszedł w świat sierotą, i obcy mnie byli wychowali, byłbym zniósł od nich wszystko raczej, niż to życie przepychem otoczone, który mnie drażnił tylko, przypominając tem boleśniej moje ubóstwo, moje w obec was nicestwo! niż życie w domu, gdzie moją dumę, rodową dumę Ettersbergów! co dzień i co chwila nogami deptano. Stryj wprawdzie raz w życiu okazał w obec pani silną wolę, gdy szło o zainstalowanie mnie w domu jego, lecz obronić mnie przed twoją nienawiścią nie potrafił. A tyś zawsze we mnie widziała, nieszczęsną spuściznę po szwagrze, któregoś równie za wroga uważała i równie nienawidziła. Wiedziałem, że mnie przyjęto w te progi z niechęcią, że jestem cierpiany z musu! i ta pewność nieraz mnie do rozpaczy doprowadzała! Gdyby nie Edmund, jeden, który mnie kochał, jeden, który ze mną trzymał, mimo wszelkich usilności, aby i jego odemnie odwrócić, nie byłbym zniosł takiego piekła! Żądasz pani odemnie wdzię-

czności? Nie czułem i nigdy jej dla ciebie uczuć nie potrafię, gdyż wiecznie słyszę jakiś głos tajemny, który mi szepcze, że ja tu nie mam za co dziękować, raczej miałbym o co... oskarżyć!

Ostatnie słowo wyrzucił z piersi wzburzonej z siłą iście piorunową. Gorycz, nienawiść, wstręt, który czuł do tej kobiety, wszystko lało się teraz jak potok niewstrzymany, niszcząc i rwąc po drodze wszelkie zapory. Hrabina zerwała się na równe nogi i stała naprzeciw niego dumnie wyprostowana. Mierzyli się oko w oko, jak dwaj zapaśnicy, przed rozpoczęciem walki śmiertelnej. Najbliższe słowa byłyby na pewno jeszcze straszniejszą burzę wywołały, gdyby nie wdanie się barona, którego głos zimny i ostry podziałał na oboje jak strumień zimnej wody na głowę spuszczony:

— Oswaldzie! zapominasz się! Czyż tak się mówi do stryjenki, której się winno uszanowanie?

Hrabina usiadła powoli na dawnem miejscu, Oswald o krok w tył się cofnął. Chwil kilka trwało ponure milczenie! wreszcie przerwał je Oswald mówiąc tonem zupełnie innym niż poprzednio, spokojnym i lodowatym:

— Prawda... muszę prosić o przebaczenie. Jednocześnie atoli po tem co zaszło, tem bardziej błagam, zostawcie mnie państwo na drodze, którą sobie obrałem. Oddalę się na zawsze z Ettersberg, co sądzę, będzie dla obu stron pożądane i... najbezpieczniejsze.

Nie czekając na żadną już odpowiedź, lub na znak, że audjencja skończona, obrócił się i wyszedł.

— Co to było? — spytała hrabina głosem stłumionym.

— Groźba! Czyżeś jej nie zrozumiała Emmo! Myślę, iż wypowiedział ją dość wyraźnie!

I baron teraz zaczął biegać po pokoju. Nawet zimna krew i sztywność prawdziwego biurokraty, nie dotrzymała placu w obec sceny tak gwałtownej. Stanął nareszcie przed siostrą:

— Musimy ustąpić. Rzeczy stoją inaczej, o wiele gorzej niż myślałem. Energiczny opór z naszej strony, mógłby pociągnąć za sobą skutki fatalne... przyszedłem do tego smutnego przekonia w ostatnich kilku minutach.

— Myślisz? — spytała hrabina bezwiednie, podczas gdy jej szeroko rozwarte źrenice, jeszcze ciągle we drzwi się wpatrywały, któremi wyszedł Oswald.

— Niezawodnie! — powtórzył baron szybko i stanowczo. — Ten chłopiec domyśla się więcej niż powinien... drażnić go nie byłoby bezpiecznem. Nie mamy wreszcie ani siły, ani pretekstu, aby wstrzymywać go od zawodu, skoro tak mistrzowsko wszystko ku temu przysposobił. Na to nie byłem co prawda przygotowany, ale wiemy przynajmniej co się ukrywało, po za tym pozornym spokojem i obojętnością.

— Jam to od dawna wiedziała! — westchnęła hrabina, — która dopiero teraz zupełnie oprzytomniała. — Nie daremnie tak się zawsze bałam jego wzroku zimnego a badawczego. Gdym pierwszy raz spojrzała w te oczy jak stal przeszywające, serce moje ścisnęło się dziwnem przeczuciem, jakby one miały sprowadzić nieszczęście i zagładę na mnie i na mojego syna!

— Dzieciństwo! — mruknął baron, a głośniej dodał. — Cokolwiek sobie Oswald wyobraża, będzie się strzegł ubrać to w słowa. Tylko najwyższe rozdrażnienie, mogło mu coś podobnego, jak to, co przed chwilą wypowiedział, włożyć w usta. Bądź jak bądź, nie trzeba go przyprowadzać do takiej ostateczności. Podobne tej sceny, nie powinny się powtórzyć. W tem jednem ma zupełną słuszność, iż najlepiej będzie, gdy opuści Ettersberg. Wtedy ustaną i jego stosunki z Edmundem. Zostawiając mu wszelką wolność, działamy w naszym własnym interesie.

Oswald tymczasem, szybko przebiegał pokoje pałacu, i właśnie był już w sieni, gdy go wstrzymał Edmund, do matki idący. Spytał go jak zawsze wesoło, tonem lekkim, i żartobliwym:

— No i jakże tam Oswaldzie? Czy dobrze sąd wypadł nad tobą? Musimy teraz silnie trzymać się razem, boć jesteśmy w tem samem położeniu, tylko że moja sprawa romantyczna, a twoja jurydyczna. Już miałem w powozie małą z nim utarczkę. Czy wuj bardzo niełaskawy?

— Względem ciebie nie będzie takim z pewnością!

— O! ja się też go bynajmniej nie boję! — zawołał Edmund ze śmiechem. — Mamę miałbym już dawno po mojej stronie; wie to niestety, i czem prędzej sobie wuja na pomoc sprowadziła. Z tym trochę trudniejsza sprawa, lecz i on nigdy nie śmiał ostro w obec mnie występować. Ale ty Oswaldzie? — zbliżył się o krok do niego, patrząc mu czule w oczy. — Znowu masz wzrok tak dziki, tak ponury! Ciebie musieli porządnie namordować?

— Wiesz, że przy omawianiu kwestji tak drażliwych, bez żywszej rozprawy się nie obejdzie — odparł Oswald wymijająco. — Jednak na swojem postawiłem. Jeszcze jedno Edmundzie. Opuszczę zapewne Ettersberg wcześniej niż zamierzałem... może... bardzo wkrótce... temi dniami...

— Dla czego? — hrabia żywo zapytał. — Co się stało? Byłeś zdecydowany zostać do jesieni. Czy cię wuj obraził, że chcesz wcześniej odjeżdżać? Tego nie zniosę! Idę natychmiast...

— Mówię ci, że się nic nie stało, i sprawa całkiem gładko załatwiona — przytrzymał go Oswald za ramię. — Stryjenka i jej brat byli z początku na mnie oburzeni, jednak przeszkadzać mi w niczem nie będą.

— Czy ty to mówisz istotnie na serjo — wykrzyknął Edmund przyjemnie zdziwiony.

— Całkiem na serjo! Zresztą usłyszysz to od nich samych. A teraz idź ty na twój sąd. Dla ciebie nie będzie on straszny. Potrzebujesz tylko do miłości matki się odwołać, gdy ja... aż postrachu użyć musiałem.

Edmund wypatrzył się na niego:

— Postrachu? Przed kim? Jak ty się czasem wyrażasz zagadkowo!

— Idź tylko teraz, idź! — nalegał Oswald. — Później mogę ci cały przebieg sprawy opowiedzieć.

— Dobrze, już idę — Edmund ku drzwiom zawrócił i znowu stanął. — Ale to ci mówię Oswaldzie, z twego wcześniejszego wyjazdu nic nie będzie! Przyrzekłeś bawić do jesieni, i musisz słowa dotrzymać. Dosyć źle, że potem nie będę cię widział miesiącami, bo wiem naprzód, iż dopóki egzaminów nie pokończysz, nikt cię nie namówi do opuszczenia miasta.

Odszedł. Oswald patrzył za nim smutno i ponuro:

— Miesiącami?! — Będziemy musieli nauczyć się na zawsze obchodzić bez siebie! — chwycił się za serce i głosem urywanym dokończył. — Nie myślałem, że mi to tak ciężko przyjdzie! (C. d. n.)

GENJALNY INŻYNIER.

NOWELLA.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO.

I.

Sir Ryszard Vibart nad wszystko ukochał pracę. Od młodości była mu ona najmilszą towarzyszką i przyjaciółką, jedynem zadaniem życia. Nie miał ani żony, ani dzieci, posiadał znaczny majątek, niezależne stanowisko, mógł więc w zupełności poświęcić się nauce. Nieraz pytali go przyjaciele, dlaczego tak się zamęcza. On im zawsze odpowiadał:

— Dla miłości pracy.

I dla tej miłości nie znał co to wytchnienie, co odpoczynek, co rozrywka i zabawa — praca starczyła mu za wszystko!

Sir Ryszard był jednym z najznakomitszych inżynierów; jemu powierzano najtrudniejsze budowy, jego stawiano na czele najważniejszych przedsięwzięć; największy jednak poklask i sławę zyskało mu pomnikowe zaiste dzieło: most rzucony ponad szeroką odnogę morską, przy ujściu jednej z najbystrzejszych rzek. Kiedy usłyszano o tym projekcie, ludzie z niedowierzaniem kręcili głowami, mówiąc, że to niepodobieństwo; ale Ryszard Vibart odparł z uśmiechem, że dla człowieka, który posiada zdolność, naukę i cierpliwość, niema nic niepodobnego.

Podczas budowy mostu rozmawiano wszędzie o trudnościach, jakie musiał przezwyciężyć, o genjalnych pomysłach, które on jeden potrafił wykonać, o jego energji, pracowitości, żelaznej woli i szalonej odwadze.

Dzień otwarcia mostu był dla Ryszarda dniem najświetniejszego tryumfu. Książę z królewskiej rodziny zjechał na tę uroczystość i nazwał jego dzieło jednem z największych przedsięwzięć, dokonanych w naszem stuleciu; królowa nadała mu szlachectwo i osobiście winszowała pomyślnego ukończenia budowy, uczeni nie szczędzili słów uznania, a modny świat stolicy wyrywał go sobie.

Hołdy i tryumfy wkrótce go znużyły, zapragnął znowu wziąć się do pracy, ale siły odmówiły mu posłuszeństwa. Umysł strudzony ciągłem natężeniem, utracił nagle dawną sprężystość, odbiegła go energja, opuściło zdrowie. Niegdyś tak czynny, niezmordowany, teraz godziny spędzał w zupełnem odrętwieniu i nieruchomości. Wezwani lekarze zalecili wyjazd na wieś i zupełny spokój zarówno ciała i ducha. Sir Ryszard miał piękną wiejską posiadłość, Lulworth, ale tam nie mógłby odpocząć; goście ciągleby go nawiedzali, przynosząc ze sobą gwar i wrzawę, które go tak nużyły.

— Na miejscu pana — radził jeden z najznakomitszych doktorów londyńskich — uciekłbym z miasta i nic nikomu nie mówiąc, zamieszkałbym w wieśniaczej chacie. Powinieneś pan przez jakiś czas wyrzec się książek i pracy, żyć tylko z ludem i naturą, o nic się nie troszczyć i niczem głowy sobie nie zaprzątać.

Sir Ryszard uznał słuszność tej rady i niespodzianie opuściwszy Londyn, zamieszkał w schludnej wiejskiej chacie, zbudowanej z kamienia, obwieszonej festonami ciemnego bluszczu, z któremi mięszały się gałęzie róż i delikatne kielichy powojów. Mały ten folwarczek, zwany Meadow-Farm, leżał w ślicznej okolicy; kryształowy strumień przerzynał zielone jak szmaragd łąki, wokoło falowały złociste łany zboża, objęte ciemną ramą bukowego lasu, nad wodą kwitły modre niezabudki, żółte jaskry i bieluchne stokrótki.

W pogodny czerwcowy poranek Sir Ryszard stał wsparty o drzewo i z rozkoszą wpatrywał się w ten uroczy krajobraz. Natura strojna w wiosenne szaty uśmiechała się do niego, słońce świeciło tak jasno i wesoło, ptaki świegotały rozgłośnie, lekki wietrzyk pochylał kielichy polnych kwiatów i dojrzewające kłosy zboża, niosąc ze sobą woń skoszonego siana. Słodkie wzruszenie opanowało serce tego człowieka, który nie znał co uścisk matki, co siostry tkliwe słowo, co miłość żony i dziecka pieszczota. Jakże tu było dobrze i miło wśród tej ciszy wiejskiej, zdala od gwaru i wrzawy światowej, zdala od trosk, mozołów i zabiegów życia! Ryszard czuł, że się odradza w tej atmosferze piękna i prostoty, że jego duch skąpany w ożywczem źródle natury, nabiera znowu siły i polotu.

Spiew skowronka wzlatującego w górę obudził go z zadumy — pogonił za nim oczyma, a potem zwrócił wzrok na łąki, z zachwytem artysty przypatrując się malowniczemu krajobrazowi. Różowe jasnowłose dzieci swawoliły na murawie, a ku strumieniowi zbliżała się poważnie gromadka pięknych krów. Na brzegu klęczał

szesnastoletni chłopiec i puszczał na wodę drewniany okręcik, który mimo jego usiłowań, ciągle na bok się przechylał. Chłopiec z niezwykłą cierpliwością poprawiał wciąż statek, ale wszystko na nic się nie zdało, okręt co chwila tracił równowagę.

Sir Ryszardowi przyszła na myśl bystra i głęboka rzeka, wzburzone fale morskie, które musiał ujarzmiać, gwałtowne wichry usiłujące zniszczyć owoc jego trudów Wiedział on co jest walka z trudnościami i wiedziony współczuciem dla chłopca, zbliżył się do niego.

— Czy to twoja robota? — zapytał, wskazując na okręt.

— Moja — odrzekł chłopiec, czerwieniąc się.

— Muszę jej się przyjrzeć.

Dziecko w milczeniu podało mu umoczony statek.

— Jak się nazywasz? — zagadnął Sir Ryszard.

— Harold Fraser — odpowiedział chłopiec.

— Twój ojciec jest dzierzawcą Meadow-Farm?

— Tak, panie.

— Pokażę ci Haroldzie, jaką wadę ma twój statek.

Uczony inżynier ukląkł na murawie, i jasno wyłożył chłopcu, jakie popełnił błędy w budowie okrętu.

— Zrozumiałeś? — zapytał go wreszcie.

Pojętne oczy chłopca żywo błysnęły.

— Zrozumiałem — odrzekł — zbudowałem już trzynaście okrętów, ale żaden nie był dobry, teraz zrobię czternasty i wiem, że mi się uda.

— Jesteś pewny powodzenia... — rozśmiał się Sir Ryszard.

— Tak, gdyż już wiem, jak trzeba budować statek, żeby zachował równowagę.

Bystrość chłopca zastanowiła inżyniera, spojrzał bacznie na jego piękną, inteligentną twarzyczkę.

— Pracujesz pewno w polu? — zapytał.

— Nie, bo pracy około roli nie cierpię — żywo zawołał chłopiec — nigdy nie będę rolnikiem.

— Dlaczego?

— Sam nie wiem, ale życie na wsi wydaje mi się nudnem, praca w polu nieznośną, a korzyści z niej bardzo nie wielkie. Tak długo trzeba czekać, zanim zasiane ziarno zejdzie i dojrzeje.

— Cierpliwość jest warunkiem powodzenia — zauważył Sir Ryszard.

— Wiem o tem — odparł Harold — jestem gotów sto razy, tysiąc nawet przerabiać mój statek, dopóki nie będzie dobry, ale nie mógłbym patrzeć spokojnie, jak grad wybija mi zboże.

— Czemże więc chcesz być? — zagadnął człowiek, który własną pracą i cierpliwością zdobył sobie byt i sławę.

— Inżynierem — chcę budować mosty i koleje żelazne, przebijać góry i zasypywać doliny. Ziemia powinna być uległą woli ludzkiej.

— Szczególne masz pojęcia, nad wiek istotnie — rzekł Sir Ryszard.

— Moja matka to samo mówi — nieśmiało odpowiedział chłopiec — ale cóż ja temu winien? Mój brat lubi siać i orać, a ja nie. Matka mówiła, że kiedym był dzieckiem, budowałem mosty z chleba.

— Prawdziwe powołanie objawia się w tobie — zauważył Sir Ryszard, zamyślając się — powiedz mi, czy chciałbyś opuścić rodzinną chatę i uczyć się długo, długo, dopóki nie zostałbyś inżynierem?

Inteligentne oblicze chłopca zajaśniało radością.

— O tem tylko myślę! — zawołał z uniesieniem.

— A więc dobrze, później pomówimy o tem, — rzekł Sir Ryszard odchodząc.

W chacie wieśniaczej istotnie wychował się genjusz. Natura hojną się okazała dla tego dziecięcia ludu: obdarzyła go pięknemi rysami, wyniosłem czołem, błękitnem okiem, w którym błyszczał ogień i słodycz zarazem; silny i zręczny, nader kształtnie zbudowany, Harold miał ruchy pełne wdzięku i wrodzonej godności, miły uśmiech, głos doniośły, melodyjny, czoło myśliciela, a oczy poety. Ciche, wiejskie ustronie, nie było miejscem stosownem dla genjalnego i ambitnego chłopca

Jego ojciec, prosty, uczciwy wieśniak, był doskonałym typem angielskiego rolnika. Nigdy on myślą nie wybiegł poza obręb folwarku, troszczył się jedynie o swoje pola i bydełko, zajmował się tylko uprawą ziemi. Nic dziwnego, że nie rozumiał syna i z pewnem lekceważeniem patrzył na chłopca, który zamiast pracować w polu, całe dnie i noce nawet trawił nad książką. Ale kiedy Harold własnym pomysłem ulepszył pług, ułatwiając ojcu robotę, lekceważenie zamieniło się w podziw.

— On z innej gliny niż my — mawiał odtąd ojciec, potrząsając głową.

Harold wynalazł nowy rodzaj zasuwek, zbudował kamienny most na strumieniu, za pomocą drenów osuszył bagnistą łąkę — słowem, niewyczerpany był w pomysłach i wynalazkach. Poczciwy i prostoduszny wieśniak zaczął teraz uwielbiać syna, dziwiąc się jego zdolnościom i rozumowi.

Harold odziedziczył je po matce, która pod względem umysłowym stała wiele wyżej od męża; bystra, żywa, pracowita, słynęła w całej okolicy jako wzór gospodyń. Dzięki jej zapobiegliwości i staraniom, dom jaśniał czystością i porządkiem, ogród dostarczał pięknych jarzyn i owoców, drób i krowy były doskonale utrzymane. Fraser niezmiernie kochał i szanował żonę, ale gdyby mu był kto powiedział, że w jej duszy żyją nigdy nie ziszczone marzenia, myśli nigdy niewypowiedziane, byłby się przeżegnał i nie dał wiary takim baśniom. Oczkiem w głowie pani Katarzyny był młodszy syn, który posiadał jej umysł i duszę — matka niemal ubóstwiała Harolda, w nim największe pokładając nadzieje. Trzynastoletnia córka Kasia była ukochaną pieszczochą obojga rodziców. Dziewczę zapowiadało niezwykłą piękność — regularne rysy, wielkie, błyszczące oczy, krucze włosy, usta jak pąk granatu i prześliczna cera, tworzyły całość uderzającą wdziękiem i życiem. Pani Katarzyna marzyła o świetnym losie dla córki; pospolity dzierżawca, to byłaby za licha partja dla

urodziwego dziewczęcia; Kasia niewątpliwie pójdzie za właściciela ziemskiego i będzie wielką panią!

Najstarszy syn, Desford, był wiernym obrazem ojca. Zamiłowany w roli, nią jedynie zajęty, o niczem nie myślał, tylko o siewie, orce, żniwach i pogodzie. Ciche życie wiejskie w zupełności mu wystarczało.

Jednego wieczora Sir Ryszard Vibart stanął przed tą rodziną, dziwne jej przedstawiając zamiary.

Przed chatą rosło kilka starych, rozłożystych lip, złotym okrytych kwiatem, którego rozkoszna woń napełniała powietrze. Stary Fraser kazał podać wieczerzę pod lipami, gdzie stały drewniane ławeczki.

— Wieczór jest tak piękny, przyjemniej nam tu będzie, niż w izbie — rzekł do żony.

— Na stoliku przed ławkami ustawiono więc masło, chleb, dzban szumiącego jabłeczniku, i cała rodzina zasiadła do skromnej, lecz smacznej i pożywnej wieczerzy. Sir Ryszard z daleka przypatrywał im się z przyjemnością; — poczciwy, opalony wieśniak, hoża i dorodna żona, piękny i niepospolity Harold, dziewczę świeże jak malina i tęgi, przystojny Desford, stanowili prześliczny obraz.

Na widok Sir Ryszarda, prosto zmierzającego ku nim, stary wieśniak ze zdziwieniem postawił szklankę na stole. Ten poważny, nieznajomy pan nigdy się jeszcze do nich nie zbliżył.

— Cieszę się, że was tu widzę wszystkich razem — rzekł siadając na ławce — mam pewien zamiar, który was się tyczy.

Harold zarumienił się, a potem zaraz pobladł.

— Od kilku dni już myślę o tem — mówił Sir Ryszard — dłużej zwlekać nie mogę, gdyż za tydzień opuszczam waszą okolicę. Uważajcie co wam powiem. Wszak prawda, że szkoda by było zamykać w ciasnem pudełku, piękny, świeży kwiat?

— Prawda — przyznał wieśniak.

— Byłaby także szkoda śmiałemu ptakowi obcinać skrzydła i więzić go w klatce?

— Byłoby to okrucieństwem! — zawołała pani Katarzyna.

— Otóż, jeżeli młodzieniec posiada wyższe zdolności, duszę artysty, pragnienie wiedzy i nauki, które go wzniesie ponad innych ludzi, czyż godzi się więzić go w wiejskiem zaciszu, łamać jego geniusz, jak skrzydła biednej ptaszynie?

Na wyrazistej twarzy matki ujrzał pierwszy błysk dumy, ale i żalu zarazem; poczciwe, dobroduszne oblicze ojca, wyrażało niepokój i instynktową obawę.

— Wasz syn, Harold, niepospolite posiada zdolności — mówił Sir Ryszard — byłoby okrucieństwem zmuszać go do waszego sposobu życia, do prostych zajęć, tak wstrętnych dla niego. Pozwólcie mu spróbować skrzydeł i wejść na drogę, która go doprowadzi po sławy i zaszczytów. A teraz przedłożę wam myśl moją. Jestem sam na świecie, nie mam ani żony, ani dzieci, ani brata, nikogo coby dbał o mnie, coby podzielał ze mną chwile trosk i radości, odziedziczył kiedyś mienie...

Taka boleść brzmiała w jego głosie, że wzruszenie ogarnęło proste serca wieśniacze.

— Odkryłem geniusz w waszym synu, pragnę więc go adoptować. Zabiorę go do mego domu, dam stosowne wykształcenie, nauczę mego zawodu, do którego objawia tak nadzwyczajne zdolności. Przed nim świetna otwiera się przyszłość, ale przedtem musicie się zgodzić na niektóre warunki.

Wiatr silniej zaszumiał w gałęziach lipy, hoża twarz pani Katarzyny posmutniała.

— Od przyjęcia tych warunków zależy los Harolda — ciągnął dalej Sir Ryszard. — Przedewszystkiem musicie zupełnie wyrzec się syna, który do mnie będzie należał.

— To ciężki warunek — rzekł ojciec powoli, kiedy w oczach matki łzy zajaśniały.

— Ciężki nie przeczę, ale sprawiedliwy. Jeżeli ja go wychowam, wykształcę i przyznam za syna, nie mogę pozwolić na to, żeby mię potem opuścił i do was powrócił.

Harold zbladł i zadrżał, nie spuszczając oka z matki.

— Będę się z nim obchodził jak z własnem dziecięciem, niczego nie będę szczędził na jego wykształcenie, dam mu nawet moje nazwisko, które on wsławi niewątpliwie. Będzie się odtąd nazywał Harold Fraser Vibart. Moje zamiary są jak najlepsze, możecie mi wierzyć; nie chcę zupełnie pozbawiać was syna; bynajmniej. Harold będzie do was pisywał, będzie was odwiedzał, ile razy zechce, ale ja jeden będę miał prawo do niego. Jeżeli nie zawiedzie moich nadziei, to przepowiadam mu, że kiedyś stanie bardzo wysoko.

— Mój syn i wtedy nie będzie się wstydził swoich rodziców, — rzekł głucho stary wieśniak.

— Nie potrzebuje się ich wstydzić — odparł Sir Ryszard — ale jeżeli chcecie, żeby wasz syn był sławnym i szczęśliwym, musicie mi go oddać, — daję wam trzy dni do namysłu.

Powstał i przyjaźnie skinąwszy im głową, odszedł do siebie.

II.

Pod lipami długie po jego odejściu zapanowało milczenie. Wiatr lekko poruszał gałęźmi, szeleściały listki, a na niebie zmrok zapadał powoli.

— Nigdy nie sprzedam mego dziecka! — zawołał wreszcie stary wieśniak.

— To nie będzie sprzedaż, gdyż my nic na tem nie zyskujemy, — zauważyła matka.

— Nie pozwolę, żeby mój syn nauczył się pogardzać prostotą rodziców.

— Choćby się wzniósł najwyżej, nie będzie nami pogardzał, — odparła pani Katarzyna.

Fraser zwrócił się do syna.

— Cóż ty na to Haroldzie? — zapytał z godnością — czy chcesz opuścić matkę, która cię wykarmiła, ojca,

który dla ciebie pracował, kochające rodzeństwo, dom, gdzie przeżyłeś lat tyle i nigdy złego słowa nie usłyszałeś — czy chcesz porzucić to wszystko i pójść z tym obcym panem?

— Daj pokój Stefanie — przerwała żona — przed Haroldem otwiera się znakomita przyszłość, nie powinien odrzucać takiej sposobności. Pomyśl tylko, nasz syn będzie sławnym i bogatym, będzie panem, ale mimo to nigdy nie zapomni o rodzicach, nigdy ich kochać nie przestanie. Zresztą niech on sam wybierze, nie jest już dzieckiem, może więc rozstrzygać o swoim losie. Cóż ty myślisz Haroldzie?

-- Matko, ojcze, dajcie mi czas do namysłu... Kocham was i szanuję, ale...

— Ale chcesz spróbować swoich skrzydeł, synku, nie prawdaż? — rzekła matka tłumiąc westchnienie — sam postanowisz o swoim losie. A teraz chodźmy spać; jutro jak świt wstać trzeba.

Wszyscy odeszli, z Haroldem pozostała tylko siostra.

— Czego ty się wahasz i namyślasz? — pytała Kasia — to piękna rzecz być panem!

— Cóż mi z tego, jeżeli nigdy nie będę mógł wrócić do was? — rzekł smutnie Harold, wpatrując się z rozrzewnieniem w mury rodzinnej chaty, obwieszonej bluszczem i różami, na których lśniły srebrne promienie księżyca.

— Jeżeli odrzucisz ofiarę tego mądrego pana, będziesz żałował przez całe życie, Haroldzie, — przedkładała siostra.

— Ale ja was wszystkich kocham! — zawołał wzruszony chłopiec — będzie mi bardzo przykro opuszczać rodziców.

— A nam to nie będzie przykro? Mnie już teraz na łzy się zbiera, kiedy o tem pomyślę. Ale widzisz, jak ty będziesz wielkim panem, to nam dasz pieniędzy, rodzice nie będą potrzebowali pracować, a ja także zostanę panią!

Harold westchnął i ucałował siostrę.

Szum liści, szmer strumienia, turkot młynu — wszystko to zlewało się w jedną harmonię, która mile pieściła ucho chłopca. Wzruszenie i żal ogarnął go na myśl, że nigdy już nie posłyszy tych dźwięków, nigdy nie powróci zamieszkać w starej chacie, gdzie każdy kącik pełen był wspomień dzieciństwa.

Harold kochał ojca, prawego i zacnego wieśniaka, uwielbiał tkliwą i zapobiegliwą matkę, serdecznie był przywiązany do brata i siostry — czyż podobna opuścić ich na zawsze, zerwać węzły łączące go z rodziną?

Ale z drugiej strony nęcił go nieznany świat, gdzie podług przepowiedni Sir Ryszarda, czekała go sława zaszczyty i bogactwa. Gorące pragnienie wiedzy i nauki, poczucie własnych sił i zdolności, wstręt do pospolitych zajęć w wiejskiem ustroniu — wszystko to skłaniało go do wyjazdu; wstrzymywała tylko miłość domu i rodziny. Potężna walka toczyła się w tej młodej duszy, jeden głos wołał „zostań“, sto innych głosów mówiło „jedź“... Niedziw, że te drugie zwyciężyły.

Kiedy nazajutrz chłopiec oznajmił chęć korzystania z ofiary obcego pana, matka pobladła, dłonie ojca zadrżały.

— Czyń co ci się podoba, Haroldzie — rzekł poważnie — masz prawo rozporządzać swoim losem. Zostaniesz wielkim panem, pamiętaj, żebyś był przytem dobrym i uczciwym człowiekiem, pamiętaj, żebyś się nigdy nie wstydził rodziny i pochodzenia swego.

— Nigdy ojcze, nigdy! — gorąco zawołał chłopiec.

Kochająca matka spojrzała na niego ze łzami.

— Przez wzgląd na ciebie, rada jestem, że wyjeżdżasz — rzekła drżącym głosem — ale moje serce będzie cierpiało, tęskniło za tobą... Nigdy cię tak nie kochałam jak w tej chwili. Jedź, bądź szczęśliwy, a nie zapomnij o nas!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

PRZYSZŁA PRIMADONNA.

Panna Lola Beet, lwowianka, słynąca z piękności, która z wielkiem powodzeniem występowała w amatorskich przedstawieniach, jak donosi *Wiek* warszawski, niezadługo ma być zaangażowaną do opery berlińskiej. Wyjechała ona tam ze swoją nauczycielką wiedeńską, u której pobierała od 6 miesięcy lekcje śpiewu. Jeneralny intendent teatrów, br. Hülzen, przy odbytej próbie był dosłownie zachwycony głosem panny Beet. Prasa berlińska podaje sensacyjne już teraz wiadomości o głosie i niesłychanej piękności przyszłej primadonny.

WYBUCH.

Koronacja rumuńskiego króla miała niefortunny prolog. Oddział artylerji miał sobie powierzone spalenie ogni sztucznych w niedzielę, jak wiadomo, w dniu koronacji księcia Karola. Na błoniach Kotroczeni rozłożono pod gołem niebem składowe części pirotechnicznego „arcydzieła,“ dla osuszenia. Około godziny 6-ej wieczorem zerwała się burza, wydano przeto rozkaz, aby rzeczone przedmioty przeniesione zostały do krytego baraku. Odkomenderowany ku temu oddział żołnierzy, z podoficera i sześciu szeregowców, popełnił tę nieostrożność, iż kawałki palnych materyj rzucał silnie na ziemię, zamiast delikatnie je tamże układać. Cały przeto zapas pirotechnicznych artykułów zapalił się, i nastąpił straszny wybuch. Gdy gęsta mgła dymu rozstąpiła się, okropny przedstawił się oczom widok. Z siedmiu żołnierzy pozostały tylko krwawe, porozrywane szczątki, walające się pomiędzy kawałkami rozniesionego baraku.

HONOROWI KACI.

Bej tunetański otrzymał ze strony świętego miasta Kairuan zaproszenie, żeby dla bezpieczeństwa przed Francuzami w niem zamieszkał. Miasto to zowią świętem, gdyż wzbroniony jest do niego przystęp chrześcianom, poganom i żydom. W razie schwytania w mieście chrześcianina, prowadzą go na podwórze do przeznaczonego ku temu meczetu, gdzie mu marabut (święty) ścina głowę; poganina duszą na głównym placu miasta, a żydów palą na stosie. Że zaś zabicie chrześcijanina uważane jest za czyn miły Bogu, wybiera zatem ludność 12-tu bogobojnych mężów, którzy bezpłatnie, tylko dla zaszczytu, w danych razach obowiązki katowskie spełniają. Niewiastom chrześcijańskim i pogańskim dozwolony jest pobyt w mieście, byle ich właściciele poręczali, że do roku na mahometanizm przejdą.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.